Rok V. Kraków, 1 Maja 1897. **Nr. 9.**



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* razem z *Nowinami* i *Rozmaitościami* wynosi w **Galicyi**:
rocznie: 3 złr.
półrocznie: 1 złr. 50 ct.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: 6 mk. — półrocznie: 3 mk.
W Ameryce rocznie: $1^1/_2$ dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka,* w **Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: *Nowiny* i *Rozmaitości.*

Prośba Polaków do Matki Bożej.

Wejrzej na nas Panno Święta,
Coś bez zmazy jest poczęta,
Pociesz w smutku lud znękany,
Polskim dziatkom ulecz rany!

My w niewoli od tak dawna,
A na nad nami moc bezprawna,
Moskal dręczy, Prusak gniecie,
Smutno, ciężko nam na świecie.

Kto pocieszy — kto ukoi?
Srogie rany któż zagoi?
Och Ty wejrzej na nas z nieba,
Twej pomocy nam potrzeba!

Tyś nam Matką i obroną,
Tyś nam tarczą nieskruszoną,

Tyś Królową polskiej ziemi,
Wstaw się, wstaw się za biednymi!

Wejrzyj na nas, wszak cierpimy,
U stóp Twoich się korzymy,
I wołamy z jękiem dziatek,
Tyś najlepsza z wszystkich matek.

Ty u Syna wszystko możesz,
Prośby nasze Mu przedłożysz,
On przebaczy, grzechy, winy,
Zbawca świata — Bóg jedyny.

Wejrzyj na nas Panno święta,
Coś bez zmazy jest poczęta,
Przywróć wolność polskiej ziemi,
Wstaw się za nami biednymi!

Jonek Kras ze Szczawnicy.

Z pism ś. p. X. Wojciecha Michny.

Czytacie nieraz o Tatarach, jakto ci drapieżniki napadali na kraje polskie. Otóż byli oni ludzie, co mieli twarz czerniawą i szeroką, na sobie korzuchy na odwrót obrócone, na łbie mieli czapki swoje, co się zwały kołpaki, przez ramię jedno mieli dwa, trzy i cztery łuki przewieszone, a potem sajdak nito tulejka na strzały, które były na końcu kute na ostro i zatrute.

Każdy Tatar miał konia, a niektórzy mieli kilka, przy boku konia wisiał topór do rąbania, nahajka do bicia konia i ludzi, w końcu wisiały powrozy, co się zwały „trokami" do wiązania zabranych ludzi, co się zwali jeńcami.

Siedzieli oni daleko, daleko od nas ku wschodowi słonka i z tamtych stron przychodzili do polskiego kraju. Byli oni poganami, mieli swoje bożki, swego cesarza, co się zwał *Chan*, mieli i kapłanów swoich, co im gadali, że cały świat z ludźmi należy do nich. A że spodziewali się wielkiego rabunku i bogactwa w kraju węgierskim i polskim, toż wybrali się w te strony na pierwszy raz w roku 1241.

Był wtedy królem polskim Bolko Wstydliwy, żoną jego błogosławiona Kunegunda. Nie było więcej jak trzy lata, jak błog. Kunegunda przyjechała do Krakowa w roku 1239, i jak Tatarzy przyszli do kraju polskiego. Otóż w polskim kraju szli oni na dwa trakty: ode Lwowa szła ich ku Lublinowi na Zawichost, Sandomierz do Krakowa jedna

część, to znowu szła ich druga część ku Warszawie i Częstochowie aż na Szląsk do Krakowa, a trzecia część szła przez ziemię Siedmiogrodzką do Węgier, gdzie się umówili razem zejść i Węgry całe zrabować i zostawić tylko kamień i wodę.

Piszą stare książki, że było wojska tatarskiego aż pół miliona, a to znaczy tyle, jakbyś podzielił na 5 kup wielkich tak, żeby w każdej kupie było po sto razy tysiąc, czyli 500 tysięcy razem. Samych siekierników na przodzie do stawiania mostów, do rąbania i rozbijania było do 50 tysięcy. A za tem wojskiem szły dopiero wozy z babami i dziećmi tatarskiemi, szły konie, chałupy, różne maszyny i z tego był taki wrzask i huk, że słowa nie można było słyszeć, a na milę było słychać, że Tatarzy idą i jadą.

Wszystko ptactwo uciekało naprzód od przestrachu, a całe chmury kruków i jastrzębi leciały górą, bo miały do jedzenia pozabijanych ludzi.

Od Lublina koło Warszawy i Sandomierza aż poza Kraków, zrabowali i spalili wszystko Tatarzy. Gdzie im wojsko polskie zastąpiło, to Tatarzy wszędzie wygrali.

Jakoś koło Kwietniej niedzieli w Wielkim Poście w r. 1241 byli Tatarzy w Krakowie. Król Bolko Wstydliwy i żona jego błogosł. Kunegunda uciekli oboje w góry i lasy ku Sączowi, za nimi pouciekali bogaci mieszczanie z Krakowa aż do Węgier, toż Tatarzy zrabowali Kraków i kościoły, jeno kościół św. Jędrzeja uratowali księża i ludzie prawie cudem.

Od Krakowa zaś koło gór węgierskich, gdzie stoi Wieliczka, Tarnów, Przemyśl aż po Lwów, tych stron nie zrabowali Tatarzy, ale sobie zostawili na rabunek dopiero z powrotem. Ale na szczęście nie wracali już tędy przez polski kraj, ale przez Węgry, a bardzo dużo ich wyginęło na drodze.

Tak król i błog. Kunegunda uciekli w góry ku Sączowi, to Tatarzy gnali za nimi, jeno wtedy nie było jeszcze dróg wszędzie, trza było co krok przewodników, a takimi przewodnikami dla króla i błogosł. Kunegundy byli górale, to jest polacy zamieszkali między lasami i górami węgierskiemi.

Wtedy nie było miast w górach, nie było miasta Sącza, Mszany, Nowegotargu, ale były dwory rzadkie, zamki niektóre na skałach i gdzieniegdzie wioski góralskie. Ucieczka też króla i błog. Kunegundy pomiędzy takie lasy i góry była trudną i odbywała się pomału z miejsca na miejsce.

Król i błogosł. Kunegunda nie chcieli uciekać do Węgier, gdzie miała błogosł. Kunegunda ojca i krewnych, bo Tatarzy szli do Węgier i siedzieli tam cały rok ponad brzegami Du-

naju, gdzie mieli paszę dla koni, toż tułali się król i błogosł. Kunegunda między lasami i górami koło Sącza i wtedy to doznawali oni od górali życzliwości i uczynności przez cały czas pobytu między górami.

Co wam tu opiszemy, to się stało wtedy, kiedy król Bolko i błogosł. Kunegunda kryli się między góralami przed Tatarami. Za Sączem koło miasteczka Krościenka, nad rzeką Dunajcem stoi dziś *Szczawnica*, wieś długa, gdzie są wody uzdrawiające.

Otóż ta Szczawnica jestto wieś dawna, siedzieli tam polacy górale, mieli sołtystwa, byli bogaci, mieli wody uzdrawiające w studniach, co się zwały „szczawa“ i od tej wody kwaskowatej nazwała się wieś *Szczawą*, a potem *Szczawicą* i znowu *Szczawnicą*.

Między sołtysami w tej wsi odznaczał się *Jonek Kras*, z ojca polak i góral, a chłop rosły jak dąb, a mocny, że beczkę kapusty brał w zęby i przerzucał przez głowę za siebie. Miał sta owiec i baranów, które wypasał po górach przez całe lato, miał krówki i woły z rogami sochatemi, a chałupa jego nie była poszyta słomą ani pobita gontami, jeno pokryta cała gładziutkiemi deskami od góry nadół i wyglądała umuskana i świecąca jakby ją kto wyczesał grzebieniem.

Choć konie bywają rzadko u kogo w górach, to Jonek Kras miał małe, ale rącze koniki, którymi jeździł po górach żwawo i które zaprzągał także i do pługa. Ale w górach, koło Sącza przychodzi wiosna bardzo późno, lato jest krótkie, a zima znowu idzie zaraz koło jesieni. Trza się z robotą wiośnianą bardzo uwijać, aby prędko zasiać i prędko zebrać, bo inaczej śnieg przysypie wszystko i zmrozi.

Otóż Jonek Kras sam sobie prędko obrobił w polu, a potem pomagał drugim, a górale mówili o nim naokoło:

„To mi góral uczynny i miłosierny, a pracowity od rana do wieczora, że i jednej chwili nie zmitręży“.

Akuratnie na wiosnę robił sobie Jonek Kras w polu, zbierał z dziećmi po roli kamienie duże, jak psie głowy, albo jak cebrzyki i składał na kupę, albo naokoło roli tak, że z tych kamieni był płot kamienny. Potem nawoził tę rolę i orał na 4 woły, a czasem przyprzągał jeszcze i konie. A oto właśnie w tę samą wiosnę uciekał król polski Bolko Wstydliwy z błogosł. Kunegundą w góry przed Tatarami. Droga była zła, bo to szły wozy królewskie z góry na dół, to znowu z dołu do góry, trza było trzymać rękami i hamować ciągle, koła się psuły, osie się łamały po kamieniach, była bieda straszna.

Dojechali król i błogosł. Kunegunda do wsi tej, gdzie sobie

orał Jonek Kras. Jak nie można było dalej jechać, to błogosł. Kunegunda posłała dworaka do Jonka Krasa. Dworak przychodzi do niego, życzył mu Bożego szczęścia i mówi:

— Czybyście też nie dali koni waszych, aby można wyciągnąć wozy nasze na górę, gdzie stoi zamek Czorsztyn?

A Jonek Kras, ani myślał długo, ale odprzęga konie od pługa i jedzie sam, gdzie go dworak prowadził. Przyjeżdża tam, widzi jakiegoś pana z panią, wozy z rzeczami, ale patrzy, a tu koła połamane. Mówi więc: Ja pobiegnę do domu i dam mój wóz góralski, przyprowadzę i 4 woły, te przyprzęgnę do wozu z rzeczami, a na mój wózek lekki może pan z tą panią siadać, to ja zawiozę was do Czorsztyna i do Pienin jeszcze przed wieczorem. I zrobił tak. Ale on nie wiedział sam, kogo on powiezie. Gdy zawiózł tego pana z panią w góry Pieniny, gdy nadeszły i rzeczy do Czorsztyna, wtedy błogosł. Kunegunda mówi:

— Co wy człowieku dobry za jeden?

A góral powiada:

— Ja jestem sołtys Jonek Kras, mam dużo pola i lasek od króla i jestem sobie wolny jak ptak.

— A co wy chcecie za tą waszą usługę? — pyta błogosł. Kunegunda.

— A cobymja brał — rzecze góral — kiedyja mam wszystko.

— A może wam przecie czego potrzeba? pyta błogosł. Kunegunda.

— A cóżby? — rzecze góral — jak widzi pani sama, to mam zdrowe powietrze do życia, mam wodę zdrową do picia, mam lasy dookoła, mam niebo blisko czoła, mam góry obok siebie i siedzę tak, jak przy niebie, mam dobrą babinę i dzieci, mam woły, konie i owce to drugie dzieci, i nie boję się Tatara ani wroga, mam króla i jednego Boga, a tak nic mi nie potrzeba, jeno błogosławieństwa z nieba dla mej rodziny.

Błogosł. Kunegunda aż się rozpłakała na te słowa, potem pogłaskała górala i mówi:

Neci ten krzyżyk na pamiątkę, a jakbyś kiedy potrzebował czego, to przyjdź do Krakowa do pałacu króla, a za ten krzyżyk dostaniesz wszystko.

Góral wziął krzyżyk, skłonił się i wrócił do domu. Za kilka lat fundowała błogosł. Kunegunda klasztor w Starym Sączu i tam słynęła pobożnością i świątobliwością życia. Górale mieli ją za świętą i przychodzili do niej po błogosławieństwo. Poszedł i Jonek Kras, już siwy. Po krzyżyku poznała go błogosł. Kunegunda, położyła na jego głowę ręce i mówiła:

Niech cię Bóg błogosławi razem z polem i dziećmi za uczynność dla ludzi, tyś mię ratował także w drodze.

Poznał Kras błogosł. Kunegundę i odszedł zapłaciwszy jej błogosławieństwem i do śmierci o tem opowiadał dzieciom swym i góralom.

Marya ratunkiem opuszczonych.

W żywocie siostry Katarzyny z zakonu Augustyanek czytamy, że w tem samem mieście, gdzie ta pobożna służebnica Pańska żyła, była także pewna niewiasta imieniem Marya, wielka grzesznica już od samej młodości. Ta nieszczęśliwa oddała się w swoich dalszych latach tak przewrotnemu i gorszącemu sposobowi życia, że ją nakoniec z miasta wypędzono.

Wyniósłszy się na pustynią, daleko od swej ojczyzny, gdzie jej nikt nie znał, ukrywała się Marya w ciemnej jaskini i tamże umarła od wszystkich opuszczona i zapomniana, niezaopatrzona nawet w święte Sakramenta.

Gdy później ciało jej znaleziono i poznano, nie pochowano go z owej przyczyny w ziemi poświęconej po chrześcijańsku, ale jak dzikiego zwierza na polu pod gołem niebem pochowano.

Siostra Katarzyna, która o tem zdarzeniu wiadomość podaje, pobożnym zwyczajem swojem polecała Panu Bogu dusze zmarłych, o których zejściu ze świata jej doniesiono. Lecz dowiedziawszy się o smutnym końcu jawnogrzesznicy Maryi, nie pomyślała nawet o tem, żeby za nią także westchnąć do Boga, mniemając, jako i inni, którzy zmarłą grzesznicę za życia znali, iż z pewnością potępioną została, i że modlitwa na niby jej się nie przydała.

Tak owóż minęły cztery lata. Wtedy ukazała się razu jednego Katarzynie we śnie jedna z dusz cierpiących, mówiąc: Kochana siostro Katarzyno! O jakże smutny mój los! Owóż polecasz najstaranniej Bogu dusze wszystkich zmarłych, tylko nad moją biedną duszą nie chcesz się ulitować.

„Któż jesteś“, zawołała Katarzyna. „Jestem“, odpowiedziała, „owa nieszczęśliwa Marya, co w jaskini na puszczy umarła, a którąście jak zwierzę na polu pochowali“.

„Jak to, więc nie zostałaś na wieki potępioną, jakośmy wszyscy mniemali“, rzekła zakonnica przerażona. „Nie, przez miłosierdzie Maryi zostałam ocalona od wiecznej zguby; — to zaś stało się tak.

Kiedym już bliską śmierci była i mnóstwo moich grzechów

sobie przypomniała, a rozważyła smutne opuszczenie, w jakiem zostawałam, wtedy żalem i zgrozą przejęta, udałam się do Matki Boskiej, wołając z uniesieniem i łkaniem: „O najłaskawsza Pani, wszakże Ciebie ucieczką i ratunkiem opuszczonych zowią! Oto patrz: jam od wszystkich opuszczona, Tyś moja jedyna nadzieja, Ty sama jedna możesz mi przyjść skutecznie na pomoc i wyjednać litość i przebaczenie Boże; zlitujże się i przebacz wprzód tej opuszczonej, ze serc i towarzystwa wygnanej grzesznicy!“ Najświętsza Panienka wysłuchała moje wołanie i uprosiła mi istotnie tę łaskę, żem przed samą śmiercią szczery żal za grzechy swoje uczuła i takim sposobem wiecznej zguby uszła. Moja miłościwa opiekunka wyjednała mi nawet łaskę, że mi Pan Bóg karę czyścową ukrócił, dozwalając, żem przez bardzo przykre i ostre cierpienia i męki w krótszym czasie odpokutowała, cobym inaczej mniej ostro i boleśnie, ale tem dłużej była cierpiała. Przyczyńże się teraz ty, siostro Katarzyno, do tego przez ofiarę Mszy świętej i twoje modły, nietylko żeby moja męka skrócona, ale głównie żeby sława Maryi ztąd rozszerzona została. Ja zaś przyrzekam Boga i Maryą prosić, żeby ci w twoich potrzebach równie pomocnymi byli“.

Siostra Katarzyna pośpieszyła się natychmiast z wykonaniem tego żądania, a w kilka dni potem ukazała się jej na nowo dusza Maryi, ale piękniejsza i jaśniejsza niż słońce i rzekła te słowa: „Dziękuję ci, Katarzyno, za chrześcijańską pomoc. Teraz idę do nieba, aby przez wszystkie wieki miłosierdzie Boże i Maryi wychwalać, a za ciebie się modlić“.

Pomoc Maryi lekarstwem w chorobie.

Było już późno w noc. Ponure światło lampy oświetlało sypialnię, która przedstawiała smutny obraz. Młoda panienka, w najpiękniejszym swym wieku leżała bardzo chora na łóżku. Na jej czole stał zimny pot, oczy były zamglone, serce biło opieszale — cierpiała bowiem na suchoty.

Przy łóżku siedziała jej matka w smutku pogrążona, usiłując ukryć łzy, które jej z ócz spadały. Jedyne jej dziecię już od kilku miesięcy cierpiało na ową niebezpieczną chorobę, zwaną suchotami. Lekarze, którzy już wszystkie środki bezskutecznie byli wyczerpali, radzili matce, aby chorą córkę przesiedliła z Niemiec do cieplejszej okolicy. Usłuchano tej rady jako ostatecznego środka, lecz i pobyt na brzegach pięknego

jeziora Garda we Włoszech nie polepszał stanu zdrowia, owszem go pogorszył.

Śmierć zbliżała się tak szybkimi kroki, iż to nawet oku troskliwej matki i później przybyłego ojca nie uszło, chociaż oboje dotąd nie tracili nadziei. Rodzice byli bliscy zwątpienia, albowiem ze śmiercią córki utraciliby wszystkie uciechy życia. Na cóż zdało im się teraz ich wielkie bogactwo w tak smutnem położeniu; o jak chętnie woleliby utracić połowę swego majątku, byleby przez to uzyskać zdrowie ukochanej córki.

Mówią, że uczynki miłosierdzia bliźniego od Pana Boga już po większej części tu na ziemi wynagrodzone bywają. Przekonamy się, czy rzeczywiście tak jest. Ta bogata rodzina ujęła się ubogiej sieroty i dała ją w bardzo wspaniałomyślny sposób wychować. Ta ostatnia nauczyła się muzyki i mowy żyjących języków i przysposobiła się na nauczycielkę. A gdy Anna, tak się nazywało owe dziewczę, pociąg do życia klasztornego w sobie uczuła, postarała się ta familia o jej przyjęcie do klasztoru panien w Belgii, zajmujących się wychowaniem i wyposażyła ją bogato. Można łatwo pojąć, jaką miłością i wdzięcznością serce Anny pałało ku swoim dobroczyńcom i jak ich smutek i utrapienie w ich teraźniejszem położeniu, o czem jej listownie donoszono, czuła i podzielała.

Właśnie w dniu, w którym się śmierci chorej obawiano, przyszedł list Anny. „Ponieważ już ziemia nie ma środka“, pisała, „przeto trzeba przypuścić szturm na niebo. Moje współsiostry i ja odprawiamy „Nowennę“ na chwałę N. P. Maryi, prosząc ją o pomoc i zdrowie dla drogiej chorej. Pomagajcie nam łaskawe Państwo i przyłączcie się w duchu do modłów naszych“.

Co się odtąd z chorą działo, było tak niezwykłe i cudowne, że się to w naturalny sposób stać nie mogło. Już drugiego dnia „Nowenny“ uczuła chęć do jedzenia, chociaż już długi czas prawie tylko lekarstwami żyła. Mogła też dłużej spać, a po ocuceniu czuła się coraz zdrowszą. W dniu zakończenia Nowenny przyjęła z rodzicami Komunią św. i to nie w łóżku, lecz klęcząco w jej pokoju. Po południu poszła już na spacer do ogrodu i od tego czasu jej zdrowie tak widocznie się polepszało, że się nad tem dziwili wszyscy, którzy chorą jeszcze przed kilku dniami tak cierpiącą i bliską smierci widzieli.

W krótkim czasie przenieśli się z nią rodzice do Niemiec, gdzie córka ich zupełnie ozdrowiała, jak gdyby nigdy przedtem chorą nie była, z czego się rodzice niezmiernie cieszyli.

A to uczyniła Marya, to był owoc modlitwy, to jest nowy cud miłości i miłosierdzia Królowej nieba, aby nas zachęcić do modlitwy i ufności do naszej matki Maryi, żebyśmy się do Niej uciekali w każdej potrzebie ciała i duszy i wołali do Niej: „Maryo, wspomożenie nasze, nie opuszczaj nas!“

Wierny sługa i opryszki.

W 1741 r. bezbożny rozbójnik Dobosz osiadłszy z bandą opryszków w Karpatach, pustoszył spokojne wsie i miasta. Zbójecka pałka jego roztrzaskała niejednę niewinną głowę, a drapieżne ręce bandy grabiły mienie pracowitych obywateli i wieśniaków.

Cała okolica drżała na samo wspomnienie Dobosza. Niewiasty o zmroku ukrywały dzieci w kąt izby, przywierając drzwi chaty żelaznemi zaporkami. Ciemny bór osłaniał siedlisko zbójców; stamtąd to oni, uzbrojeni w toporki i pistolety, wymykali się o zmroku, niosąc wraz z sobą śmierć i pożogę. Niejedna wieś dymiła się niedopalonemi zgliszczami, a gospodarz nie śmiał siąść u stołu, nie śmiał spocząć po pracy, z obawy, aby go nie rozbudził Dobosz, stojący z siekierą nad łóżkiem. Sprawiedliwość Boga dosięgła wkrótce zbrodniarza: zginął marnie powieszony na rynku powiatowego miasta, w którem nie jeden spełnił rabunek. Wiele jednak wprzódy zostało sierót bez ojców, wiele ludzi bez mienia.

Do dziś dnia imię opryszka przeraża mieszkańców z okolic Karpat i Halicza. Chwila jego pobytu w górach była chwilą powszechnej trwogi i niebezpieczeństwa; a dla tej przyczyny zasługuje zdarzony przykład szlachetnej odwagi i poświęcenia wśród wielkiego niebezpieczeństwa na pamięć i na wspomnienie u potomnych,

Czwartego Października 1741 r., w wiosce Hołosków, położonej na Pokuciu w Halickiej ziemi, trzy mile od Stanisławowa, w modrzewiowym dworze, otoczonym zżółkłemi od jesiemi lipami, rozległ się cicho, stłumiony jęk pani Rozalii Karpińskiej, złożonej niemocą. Szafarka stała zamyślona nad łożem swej pani, mówiącej słabym głosem:

— Więc już mąż mój wyjechał! Obowiązek obywatelski zmusił go do opuszczenia domu i żony w tak ważnej chwili! Biedny Jędrzej!

Szafarka nic nie odpowiedziała: usta jej były pobladłe przestrachem. a słuch wytężony na słowa dolatujące z izby

gościnnej, do której za chwilkę weszła z pośpiechem. Słudzy dworcy rozmawiali tam żwawo, zobaczywszy zaś wchodzącą szafarkę, jeden z nich, gajowy, powiedział:

— Marto! Opryszki za godzinę najdalej będą w Hołoskowie; już splądrowali wsie sąsiednie, i cała banda ciągnie w tę stronę.

Stara jeszcze więcej pobladła, i zakrywając twarz rękami, rzekła!

— A nasza biedna pani!... Pan musiał ją opuścić, któż ją obroni przed okrucieństwem zbójców?

— Niema tu co myśleć o bronieniu — przerwał gajowy — komu życie miłe, niech ucieka! Pałka Dobosza nikomu nie przepuszcza; ja pierwszy biorę nogi za pas! Człowiek tylko raz się rodzi, nie można tak łatwo życia hazardować! Cóż pani?... jak zbójcy zobaczą, że chora, to jej i dadzą pokój. Ruszajmy, Januszu; póki czas.

Janusz, stary sługa państwa Karpińskich, podniósł w górę swoje wychudłe ręce i rzekł z oburzeniem:

— Co? jabym miał naszą biedną panią odstąpić i zostawić w takiej niemocy, żeby się nieboraczka zobaczyła samą wśród srogiej bandy, bez sług swoich i bez nikogo? A tożby mnie Bóg ciężko za to skarał! Nic z tego nie będzie! Kto chce, niechaj jako tchórz umyka; ja się polecam opiece Najświętszej Panny i zostaję. Marta niech natychmiast zarządzi wieczerzę; nie szczędzić wódki, chleba, baraniny; ustawić wszystko na stołach, aby uprzedzić zbójców.

Szafarka zeszła do kuchni i wnet wieczerza była gotową, stoły nakryte, dwór oświetlony jakby dla rozbrojenia opryszka i uczynienia go miłosiernym dla chorej. Gajowy i Janusz trwali przy tem co powiedzieli. Pierwszy był nikczemnym tchórzem, drugi wiernym sługą. Pozostawał jeszcze karbowy, który wolał zatrzymać się przy Januszu, ze strachu, żeby go uciekającego opryszki nie złapali na drodze.

Dziesiąta wieczorem wybiła; wieśniacy pochowali się już wraz z dobytkiem. We wsi było cicho, przede dworem jakby wymiótł, tylko w ganku stał Janusz z latarnią w ręku, kiedy hałaśliwa banda zbliżyła się do niego.

Stary skłonił się Doboszowi i rzekł pokornie:

— Pana naszego niema w domu, pani leży bardzo chora, ale mimo to, prosi was, żebyście przyjęli u niej ugoszczenie, bo wieczerza już gotowa.

Pokora starca, gościnność pani i zastawione stoły rozbroiły

zbójców: wypili wódkę za zdrowie chorej, a Dobosz kazał się zaprowadzić do jej pokoju.

Najdzikszy nawet człowiek nie śmie podnieść ręki na bezbronną słabość, to też i opryszek z ostrożnością, pocichu, wszedł do sypialnej komnaty.

Pani Karpińska właśnie w tej chwili wydała na świat syna; opryszek uspokajał ją, żeby się nie bała, że on jej nic nie zrobi, a przypatrzywszy się nowo narodzonemu dziecięciu, prosił, żeby mu nadano jego imię Aleksy, poczem równie ostrożnie i powoli oddalił się ze dworu wraz z bandą swoją.

Odetchnęli wszyscy swobodniej. Janusz i szafarka dokończyli ostatnich słów Godzinek, które przez cały czas obecności zbójców odmawiali i radośnie pobiegli do łoża pani, która na drugi dzień przybyłemu mężowi pokazując szczęśliwie urodzonego syna, opowiedziała zarazem całe zdarzenie z opryszkami. Pan Karpiński wysłuchawszy tak strasznej powieści, podziękował Bogu, tem czulej uścisnął żonę, syna i wiernego sługę Janusza, którego odtąd do własnej rodziny zaliczał.

Wkrótce potem Dobosz wraz z całą bandą swoją pojmany i śmiercią ukarany został. Dziecię w jego obecności urodzone zasłynęło kiedyś w Polsce całej jako wielki pisarz. Tem dziecięciem był *Franciszek Karpiński.* Panowie i lud śpiewają do dzisiaj jego pieśni, i niema nikogo w naszym kraju, ktoby nie znał owych ślicznych modłów porannych:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon, Boże wielki!

albo wieczornych:

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie, Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali.

lub też:

Dosyć Boże deszcze lały,
Twoje się dzieci zebrały,
Proszą od Ciebie pogody,
Błyśnij słońcem, spłyną wody.

wreszcie owo śliczne słowo do Boga:

„Bo najmilszą Ci się zdała,
Pracującej ręki chwała“.

Imię Janusza i wspomnienie jego poczciwego postępku przechowały się aż do dzisiaj, stanowiąc najpiękniejszą spuściznę jego dzieci; — o gajowym i karbowym nie mówmy już lepiej.

Bajka o dżumie.

Osoby, które z góry już obawiają się zarazy, z wielkim dla siebie pożytkiem mogą odczytać następującą legendę wschodnią o dżumie.

Pewien młodzian zdążał konno z Bayrutu do Damaszku. Po drodze, u stóp palmy, spostrzegł płaczącą staruszkę w łachmanach.

— Kto mnie do Damaszku zabierze? — zawodziła głosem drżącym.

Młodzieniec, wzruszony jej łzami, zatrzymał się i wziął ją ze sobą. Po drodze pytał:

— Jakże cię zowią? Zdajesz się wynędzniałą, a w oczach masz dziwny ogień.

— Przyjacielu — odparła staruszka — nazywam się „Czarna Dżuma“.

Jeździec drgnął z przerażenia i wstrętu i chciał ją zrzucić z siodła.

— Silisz się nadaremnie — rzekła — i bez twej pomocy do Damaszku dotrę. Żadnej ci zresztą krzywdy nie wyrządzę, a w nagrodę za dobre serce gotowa jestem nawet udzielić ci wiele. Proś.

— Dobrze, zawiozę cię do miasta, lecz pod warunkiem, że tam nikomu życia nie zabierzesz.

— To niepodobna. Lecz wyznacz, ilu mam zabić.

— Sześćdziesiąt osób najwyżej.

— Zgoda.

— Ale jakże cię ukarzę, jeśli obietnicy nie dotrzymasz? — rzekł przezorny młodzian.

— Znajdziesz mnie wieczorem po za wielkim meczetem (świątynią turecką) i zabijesz.

Przybywszy na miejsce, młodzian około swoich spraw się zakrzątnął. Nazajutrz piętnaście osób umarło w Damaszku; w dniu następnym — trzydzieści, potem znowu sześćdziesiąt. Oburzony młodzieniec, pobiegł za meczet. Ujrzał tam istotnie staruchę.

— Więc tak obietnicy dotrzymałaś? — wołał, zamierzając się na nią mieczem.

— Nic mi zarzucić nie możesz — odparła głosem spokojnym — nie sprzeniewierzyłam się danemu słowu: w pierwszym dniu zabiłam piętnaście osób, w drugim dwadzieścia, a w trzecim — dwadzieścia pięć.

— A tamte, nędznico?

— Tamte?... poumierały ze strachu.

Pszczelnictwo w dawnych czasach.

Dokończenie artykułu: **Trzeba zakładać sady i pasieki.**

Już w zamierzchłej starożytności, bo na czterysta lat przed narodzeniem Pana Jezusa, słynęły kraje słowiańskie z wielkiej obfitości pszczół; grecki historyk Herodot pisze, że za Dunajem taka jest mnogość pszczół, iż trudno się przedrzeć wędrowcowi przez tamte ziemie. A i początek dziejów polskich rozpoczyna się od kołodzieja Piasta, gdy ten wozi przez Gopło miód, którego miał tak wiele, że na postrzyżynach swego syna częstował tym słodkim napojem całe rzesze sąsiadów i przyjaciół.

Późniejsze zaś dzieje naszej Ojczyzny wspominają raz po raz o wielkiej obfitości pszczół w Polsce, nazywając jej lasy miodem płynące, który przynosił takie dochody, jak zwierzyna i drzewo. Szczególniej wiele barci było w lasach litewskich, mazowieckich, na Podolu kijowskiem i w lesie Lebedyńskim na Ukrainie. W tym ostatnim mieli włościanie po 100, 200 do 500 barci; niektórzy nawet dawali jako dziesięcinę po 200 stągwi patoki, t. j. czystego miodu, wysączonego z plastrów bez ognia.

Bartnicy, ludzie biegli w hodowaniu pszczół, stanowili osobną klasę ludności, mieli swoje własne prawa i starostów miodowych. Niektórzy majętniejsi dzierżawili całe puszcze, w których mieli setki barci.

Sławny historyk polski Lelewel, opisując dochody Litwy, obliczył, że w ciągu jednego roku, od 1506 do 1507, wywieziono za granicę półtora sta kamieni wosku, za który samo cło przyniosło 400.000 zł. W ośmdziesiąt lat później, za króla Stefana Batorego, ofiarowała pewna rodzina skarbowi za prawo wywożenia miodu i wosku 400.000 złotych. Następnie przecież

w czasie wojen kozackich i szwedzkich podupadło w Polsce bardzo pszczelnictwo. A przecież jeszcze w drugiej połowie siedmnastego wieku, więc przed dwustu laty, pewien Francuz, opisując swoją podróż po naszym kraju, pisze, że miodu jest tak wiele w Polsce, iż dochód z niego tyle przynosi, co sprzedaż drzewa, a niektórzy właściciele barci mają rocznie 5000 reńskich za miód i wosk.

Takie to zyski ciągnęli nasi ojcowie z pszczelnictwa; nie dziw też, że dawniej dostatek był większy, choć ziemię naszą niszczyli raz wraz liczni wrogowie, ludzie biedy tak, jak dziś, nie mieli, nie tułali się po świecie za zarobkiem, ale przeciwnie, do Ojczyzny naszej ciągnęli ze wszystkich stron liczni przybysze, dorabiali się majątków i wyrastali na panów.

Lecz któż nam jeszcze broni iść za przykładem przodków naszych, zająć się hodowaniem pszczół, zamiast szukać w świecie wątpliwego zarobku! Nikt! Chyba nasza własna nieudolność, brak energii i przemyślności, które jednak każdy człowiek przy dobrej woli może w sobie wyrobić.

Niech tylko spróbuje jeden i drugi, niech ten i ów, mający ogródek przy domu, zamiast uciekać na wiosnę w świat, założy pasiekę; przy umiejętnem i starannem jej prowadzeniu wnet się przekona, że i w domu można znaleść donośne zajęcie, że pilność, przedsiębiorczość i przemyślność lepiej się opłacają, niż ciężka, niszcząca zdrowie praca w obcych stronach.

Uzbierajmy sobie sami ziółek.

Ziemia pokryła się znowu rozkoszną zielenią, a na polach, łąkach i trawnikach pojawiło się mnóstwo ziółek. Wabią one do siebie i wpraszają się swą wonią i miłemi kształtami. Komuż nie nasuną się tu na myśl słowa Mędrca Pańskiego: „Najwyższy stworzył lekarstwa z ziemi, a człowiek mądry nie pogardzi niemi!“ A zatem niech każdy, komu zdrowie miłe, nie zapomina, że rok rocznie sporządzane mu bywają — w owej wielkiej pracowni przyrody — nietylko pokarmy, ale i lekarstwa w sposób doskonały.

Zioła uzbierane i przyrządzone własnoręcznie są bezwątpienia najpewniejsze w swych skutkach. Każdy bowiem wybierze sobie najlepsze, a odrzuci podlejsze. Do składów i handlów zaś zbierane bywają zioła często przez dzieci i niesumiennych robotników, którym na tem tylko zależy, aby jak najwięcej zarobić. Dlatego spiesząc się, mało zważają na to,

czy roślinka jest świeżą czy zwiędłą, czy liście są pięknie zielone, czy już zżółkłe i od owadów podziurawione. A przecież od tego skuteczność i wartość zioła najwięcej zależy.

Chcąc rośliny zachować na później, trzeba je należycie suszyć. Od sposobu suszenia ich także dużo zależy. Szczególnie zważać trzeba na to, aby zioła suszyły się na świeżem powietrzu, przytem zawsze jednak w cieniu, a nigdy na słońcu. Najlepiej rozkłada się je na desce i przykrywa czystym papierem (używanym zwykle do filtrowania) tak, iż zakurzyć się nie mogą. Dla zupełnego dosuszenia można je nareszcie włożyć do ciepłego pieca. Gdy już dobrze uschły, przechowuje się je najlepiej w blaszanych puszkach.

Chcąc z roślin sporządzić sobie herbatę, bierze się zwykle szczyptę ziółek (tyle, ile się zmieści w 3 palce) na filiżankę naparu. Szczypta ta jednakowoż nie powinna być — szczególnie przy ostrzejszych roślinach — za wielką; ważąc na gramy, należy się brać na ćwierćlitrową filiżankę 1-3 gramów ziół. Zwracamy tu na to z tej przyczyny uwagę, że wedle najnowszego polskiego dzieła X. Kneippa: „Mój testament“ szczypta ta wynosić ma aż 9 gramów. Jestto bezwątpienia zwykle za wiele. — Wyszedłszy na pola, na łąki i w lasy zbierajmy sobie sami zioła. Osiągniemy ztąd niezmierne korzyści. Prócz korzyści z świeżego powietrza bowiem i ruchu w swobodnej przyrodzie, pozyskamy zarazem najlepsze lekarstwa.

Ziółka majowe.

1. *Babka* rośnie na brzegach dróg, na murawach i na suchych łąkach. Zbiera się młode liście.

2. *Bobrek trójlistny* czyli Trojan wodny lub Bobrowniczek na bagnach, mokrych torfiastych łąkach, w rowach i płytkich wodach stojących, — Młode liście i kwiatki.

3. *Bratek* czyli Macoszka, albo raczej Fijołek trzykolorowy, na polach i pastwiskach.

4. *Brodawnik mleczowaty*. Korzeń i liście,

5. *Fijołek* wonny rośnie po murawach, nad rowami, w lasach. Liście i kwiat.

6. *Kluczyki lekarskie* czyli Pierwiosnek lek. na łąkach, pastwiskach i w gajach.

7. *Krwawnik* czyli Tysiąclist rośnie wszędzie po ogrodach, miedzach, pastwiskach, murawach. Poczyna kwitnąć dopiero w czerwcu; w maju zaś zbiera się młode listki, które w pewnych okolicach z chlebem pożywane bywają.

8. *Kurze ziele* czyli Drzewianka wzniesiona na wygonach, łąkach, w lasach i miejscach wilgotnych. Kłęby (korzenie) obiera się z drobnych korzonków i wysusza.

9. *Płucnik lekarski* w cienistych zaroślach, gajach i lasach liściastych. Liście i kwiat.

10. *Podbiał* pospolity na ziemi gliniastej i mokrej. Liście.

11. *Pokrzywa*. Używa się całą roślinę.

12. *Poziomka* zwyczajna (zwana czerwoną jagodą). Młode liście zasuszone zupełnie zastąpić mogą cudzoziemskie herbaty.

13. *Rozmaryn* na suchych i skalistych wzgórzach. Liście i kwiaty (zawierające wiele kamfory). Na osłabienie żołądka i nerwowość.

14. *Skrzyp polny* czyli koszczka, strzępka, jedlinki, po drogach piaszczystych i nad suchemi drogami. Używa się odwaru do okładów na zgniłe rany, odzięblizną nóg.

15. *Srebrnik* pospolity czyli gęsi, nad drogami, na łąkach. Liście i kwiat.

16. *Tarnina* czyli Cierniak, kwiatki suszone są łagodnym i dobrym środkiem rozwalniającym.

17. *Tobołki* pospolite rosną wszędzie po górach, miedzach i ogrodach. Wyborny środek tamujący krwotoki. Używa się całej rośliny najlepiej w świeżym stanie.

(Z Przew. zdrowia).

Do niniejszego numeru dołącza się **9**-ty numer ***Nowin*** i ***Rozmaitości.***

W Krakowie, czcionkami drukarni Zwiazkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.